

KONTYNENTY

Opowieści
podróżne

39
1/2023



ISSN 2084-9915
9 772084 991307 01



**Nie pokazuj im zdjęć,
pokaż im miejsca.**

**Nowe Porsche Cayenne.
Razem jeszcze dalej.**

Porsche Cayenne E-Hybrid Coupé. W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa wynosi od 1,5 l/100 km do 1,8 l/100 km, energii elektrycznej od 28,7 kWh/100 km do 30,8 kWh/100 km, emisja CO₂ od 33 g/km do 42 g/km (na podstawie świadectw homologacji typu, dla cyklu mieszanego albo wartość ważona). Zużycie paliwa/energii oraz emisja CO₂ zostały określone zgodnie z procedurą WLTP. Szczegóły dot. WLTP, czasu ładowania i zasięgu sprawdź na stronie www.porsche.pl/wltp lub zapytaj Autoryzowanego Dealera Marki Porsche. Informacje na temat odzysku i recyklingu pojazdów znajdziesz na stronie www.porsche.pl/porsche-impact/.



PORSCHE



**Na dalekie podróże
najbliższych
przyjaciół.**

**Nowe Porsche Cayenne.
Razem jeszcze dalej.**

Porsche Cayenne. W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa wynosi od 10,8 l/100 km do 12,1 l/100 km, emisja CO₂ od 246 g/km do 275 g/km (na podstawie świadectw homologacji typu, dla cyklu mieszanego). Zużycie paliwa i emisja CO₂ zostały określone zgodnie z procedurą WLTP. O szczegóły zapytaj Autoryzowanego Dealera Marki Porsche lub sprawdź na stronie www.porsche.pl/wltp. Informacje na temat odzysku i recyklingu pojazdów znajdziesz na stronie www.porsche.pl/porsche-impact/.

Opowieści
podróżne

KONTYNENTY

Opowieści
podróżne

39
1/2023

KONTYNENTY

NR 39



facebook.com/magazynkontynenty/



www.magazynkontynenty.pl



www.instagram.com/magazyn_kontynenty



twitter.com/kontynentymag

Redaktor naczelny:

Dariusz Fedor

Zastępca redaktora naczelnego:

Tomasz Fedor

Dyrektor artystyczny:

Grzegorz Sufa-Chrostowski

Reklamy:

Agnieszka Wojciechowska

Wydawca:

Oficyna Wydawnicza Kontynenty
redakcja@magazynkontynenty.pl

Druk:

PRINT GROUP
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Księcia Witolda 7-9
71-063 Szczecin

ISSN 9772084991307:01

Copyright © Redakcja-Kreacja 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczonych reklam.

Reklamy na str.: II, III i IV okł.

Nakład:

1000 egzemplarzy,
dodatkowo wersja cyfrowa

Fotografia na okładce:

Kobieta z miasta Humahuaca w stanie Jujuy w Argentynie. Pozwoliła zrobić sobie tylko jedno zdjęcie z obawy przed utratą duszy.

Autor: Jacek Poremba



Dalej

Nurzaliśmy się w herbacianej zieleni. Droga wiła się między wzgórzami, a delikatna, schodząca do jarów mgła kroplami osiadała na liściach. Nieba nie było widać, ale przecież wiedziałem, że jest błękitne. Krajobraz był tak soczysty i nieziemski, jakby go sam Teofil Ociepka – a nie natura – maznął swym prymitywnym pędzlem. Za setnym zakrętem nasz oniryczny autobus zjechał do zatoczki między dwiema obrośniętymi mchem skałami. W polu obok bosa kobiety w kwiecistych sari rwały liście i wsypywały je do koszy uwiązanych płóciennymi pasami do czoła. Stałem na drugiej skale, ale i tak nie byłem w stanie ogarnąć całego widoku – plantacja, wzgórze, jary, mgła, rozmazany w niej las na horyzoncie, kobiety z koszami, zupełna cisza. Co było dalej...?

Zszedłem do jednej z Tamilek, uśmiechem zapytałem, co zbiera. Złożyła dłonie w czarzę, wyciągnęła je w moją stronę i uśmiechem odpowiedziała, że herbatę. Listki były nierozwinięte, cienkie rurki – zielonkawe, ale o srebrzystej poświacie, zebrane z samego czubka gałązki. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to najszlachetniejsza i najdroższa odmiana herbaty, silver needles, srebrne igielki. Stałem obok, gęstwina zakryła mnie od pasa w dół. Odrywałem igielki i wsypywałem jej do kosza. Ktoś zapytał: „Nie boisz się węży? Podobno pełno ich tu pełza, a one tak na bosaka...”. Co było dalej...?



U stóp wzgórza, w manufakturze, zapach świeżej herbaty zawładnął zmysłami. Na wielkich sitach suszyły się, dojrzewały, fermentowały wszelkie rodzaje napoju. Brodziliśmy w tym bogactwie woni, w oszołomieniu spijaliśmy z mini filiżanek próbki o kolorach słonecznych, cytrynowych, mango, marakui po brązy i niemal czernie. A potem układaliśmy w torbach szkatułki i pudełka oznaczone ikoną lwa dzierżącego miecz i opieczętowanego dumnym napisem „Ceylon tea. Symbol of quality”. Co było dalej...?

Na schodach wykwintnej restauracyjki, której fasada ginęła pod girlandami kwiatów, szczęśliwa panna młoda rodem z baśni tysiąca i jednej nocy pozowała do zdjęć. Któryś z gości – drużba? – szerokim gestem zaprosił do środka, do ogrodu na tyłach. Zabawa jeszcze się nie zaczęła. Na drewnianym podeście muzycy rozciągali kable od instrumentów do wzmacniaczy. Obok, na tarasie, pięciu odświętnie umundurowanych, wyorderowanych, wąsatych oficerów zatrzymało się w pół toastu i z marsowymi minami lustrowało naszą europejską hałastrę. W szampańskich kieliszkach połyskiwał klaret, który mógł być alkoholem – jak wesele, to wesele, nawet dla Syngalezów. Co było dalej...?

Oparci o barierkę wypatrywaliśmy góry Adama, ale skrywała ją ta sama mgła, która snuła się po herbacianych plantacjach. Zabawa w ogrodzie powoli się rozkręcała. Zachodzę do dziś w głowę, jakiego to wysoko postawionego ojca córa miała w tej restauracyjce na uboczu najważniejszy dzień swego życia, co to za szarże się tam bawiły, jakimi syngalezko-tamilejskimi bitwami dopiero co ci groźni oficerowie dowodzili, których Prabhakaranów klęski, a których Rajapaksów triumfu byli naoczni świadkami.

Ilu bliskich stracili w tsunami. Jak byli w stanie zapanować nad pamięcią i zapomnieniem. Co było dalej...?

Co będzie dalej...?

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku! Od z górą jedenastu lat prowadzę Cię po dobrze znanych szlakach – i po ścieżkach jeszcze nieprzedeptanych. Pokazuję Ci bogactwo i piękno świata. Staram się – wraz z Tobą – poznawać go i zrozumieć. Oddaję Cię w ręce czułych przewodników, których z największą starannością wyszukuję: pisarzy, reporterów, fotografów, podróżników. Doświadczonych i tych, którzy na drodze poznania dopiero stanęli. Staram się to wszystko robić starannie i uczciwie, nie goniąc za błichtrem czy zyskiem. Dziś chciałbym Cię powiadomić, że ta podróż, którą rozpoczęliśmy w 2012 roku, dobiegła kresu.

Co będzie dalej...?

Johan Huizinga zamykając prace nad – jak się okazało – swą wiekopomną teorią, streszczoną w pojęciu *Homo ludens*, wyznał, że nie jest pewien jej kompletności. W rozterce usprawiedliwił się: „Rzecz przedstawiała się dla mnie tak: pisać teraz albo nie pisać wcale. Pisać o czymś, co leży mi na sercu. A więc napisałem”. (*Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury, Przedmowa – wprowadzenie*, tłum. Maria Kurecka i Witold Wirpsza, wyd. Czytelnik 1985). Zdania te, które przypomniałem sobie po latach, dały mi odwagę, by zdecydować: dalej będę wydawał „Kontynenty”. W nowej odsłonie, w formie na miarę czasów, ale w treści te same: mądre, ciekawe, porywające, inspirujące. Obiecuję, że będę tego pilnował tak, jak robię to od ponad 11 lat.

Bo, parafrazując Huizingę: Rzecz przedstawia się dla mnie tak: wydawać „Kontynenty” teraz albo nie wydawać wcale. Wydać to, co leży mi na sercu. A więc wydaję.

W tych po długiej przerwie wydanych „Kontynentach” – zmniejszonych do formatu idealnego na podróż, nieobciążonego zdjęciami – wyobraźnię uruchamiamy słowem. I ruszamy w podróż. Do Katalonii, Kantabrii, Asturii, Castilli y Leon. Do Rapallo i Skopje, na półwysep Varanger i na Wyspy Owcze. Na Sri Lankę i na Sokotrę. Do Brazylii, Panamy i Peru. Do Iranu i Pakistanu. Za zmyślonym czeskim bohaterem Járą Cimrmanem i realnym do szpiku kości bohaterem naszym – Mateuszem Waligórą. A nawet z Wisławą Szymborską – palcem po mapie. A może i dalej.

Ci, którym będzie mało, niech nakierują obiektywy swoich telefonów na kody qr pod niektórymi tekstami – tym sposobem odkryją dla siebie nowe bramy percepcji: książki, filmy, zdjęcia, sprzęt na wyprawy, przewodników i inspiracje.

To będzie piękna podróż! Zapraszam!

Dariusz Fedor
redaktor naczelny



Spis treści

WYCIECZKI OSOBISTE

- 14 **WISŁAWA SZYMBORSKA**, MAPA
92 **HRYHORIY SEMENCHUK**, WOJNA TRWA
96 IMIONA

DROGA

- 16 **DARIUSZ FEDOR**, ZAMKI NA WIETRZE

EUROPA

- 40 **KATARZYNA NIZINKIEWICZ**, LATO W HISZPANII
58 **KINGA NETTMANN-MULTANOWSKA**, POLSKIE MIASTO SKOPJE.
ŚCIEŻKI OSOBISTE, MACEDONIA PÓŁNOCNA

NIEŚPIESZNIE

- 70 **URSZULA CHYLASZEK**, 8 RZECZY, KTÓRE MOŻESZ ROBIĆ,
BĘDĄC NA WYSPACH OWCZYCH
100 **KATARZYNA NIZINKIEWICZ**, CO ZROBIĆ NA PÓŁWYSPIE
VARANGER...?

HISTORIE PODRÓŻNE

- 72 **MAREK PERNAL**, DUCHY RAPALLO. ŚLADAMI UKŁADU, KTÓRY
WSTRZAŚNĄŁ EUROPE

DOBRA KSIĄŻKA

- 104 **ITAMAR VIEIRA JUNIOR**, KRZYWYM PŁUGIEM
112 **TOMASZ AUGUSTYNIAK**, SRI LANKA, KRÓLESTWO BUDDY

PODRÓŻE ZE WSKAZANIEM

- 132 **MICHAŁ KACZMAREK**, JIZERSKI JÁRA CIMRMAN – CZŁOWIEK,
KTÓREGO NALEŻAŁO WYMYŚLIĆ

AFRYKA

156 **IGA CICHÓŃ**, SOKOTRA. RAJSKIE ŻYCIE I INNE KŁOPOTY

BLISKI WSCHÓD

168 **AGNIESZKA WRZOSEK**, IRAN. W POSZUKIWANIU WOLNOŚCI

AZJA

178 **PAWEŁ RUT**, U PAKISTAŃSKICH POTOMKÓW GRECKICH
ZDOBYWCÓW

AMERYKA

192 **IWONA ŻELAZOWSKA**, PANAMKI, KANAŁ I RUM „DZIADEK”

210 **MATEUSZ MARCZEWSKI**, PUCALLPA: PUNKT ZERO

ANTARKTYDA

220 **MATEUSZ WALIGÓRA**, NOTES POLARNY

Zamki na wietrze

Dariusz Fedor

Chciałem znów ruszyć w drogę. Spakować namiot i te wszystkie klamoty. Jechać dwa i pół tysiąca kilometrów, nie myśleć o postojach, mieć tylko cel i kierunek. Chciałem, by deszcz zlał mnie gdzieś w Turynii, poprawił w Burgundii i już więcej mnie nie nękał. Chciałem upewnić się, że ser od cystersów z Cîteaux smakuje tak samo, że aligoté od monsieur Chopina z Nuits-Saint-Georges ma w sobie ten sam słoneczny refleks. Chciałem mrużyć oczy i wypatrywać orłów na niebie, kościółków na wysmukłych wulkanicznych stożkach Owernii, katarskich zamków wrosniętych w niebotyczne ostańce Langwedocji. Chciałem, by mi auto ukolebały ciepłe wichry znad prowansalskich rozlewisk. Chciałem przejechać góry i rozbić namiot nad ciepłym morzem w Katalonii

TAK, UDAŁO MI SIĘ TAKĄ PODRÓŻ ODBYĆ U SCHYŁKU LATA 2022 ROKU. RUSZYŁEM W NIĄ NASZYM STARYM LAND CRUISEREM Z EWĄ – STARGANI PANDEMIĄ, PRZETRĄCENI KRYZYSEM, PRZERAŻENI WOJNĄ, POSTANOWILIŚMY WRÓCIĆ NA STARE SZLAKI WBEW MOŻLIWOŚCIOM. „A MOŻE TO OSTATNI RAZ? KTO WIE, CO BĘDZIE ZA ROK?” – MÓWIŁA EWA. „KTO WIE” – ODPOWIADAŁEM. Z NASZEJ PODWARSZAWSKIEJ MIEŚCINY DO MIEŚCINY NADMORSKIEJ W KATALONII JEST TYLKO DWA I PÓŁ TYSIĄCA KILOMETRÓW.

Spisuję teraz tę podróż z pamięci. Nie z notatek, bo nigdy ich w drodze nie robię. Potem żałuję... Ale gdy jadę, to jadę; gdy patrzę, to staram się zobaczyć; gdy słucham, to staram się usłyszeć; gdy kosztuję, to staram się cieszyć smakami. Opowiem Ci zatem tę podróż, Droga Czytelniczko–Drogi Czytelniku, tak jak opowiadam przyjaciółom po powrocie. Siadamy przy kominku, wyciągam z pieca chleb i to, co najlepsze zawsze przywożę: oliwę z doliny Siurany, oliwki arbequinas, ser manchego, llonganissę z Vic i wino z Prioratu, i jeszcze z Montsantu. I z tego, co już uleżało się w pamięci, z tych okrucichów podróżnych, z najpiękniejszych obrazów, najgłębszych emocji okraszonych kolejną porcją wiedzy – bo prawdą jest, że podróże uczą – składam opowieść. Tylko Ty sobie nie myśl, Skwapliwy Odbiorco, że odtworzysz moją podróż na googlowej mapie, oj nie. Że ułożysz sobie na osi czasu jej kolejne etapy. Że zweryfikujesz co do joty z wikipedycznym przewodnikiem w ręku. Bo tą podróżą jest ta opowieść. Będziemy ją tworzyć razem – ja Ci podam obrazy, emocje, kolory, dźwięki, Ty je sobie wyobrazisz i nawlecze my je na nitkę drogi. Mojej drogi – Twojej drogi. Tak sobie po prostu pojedziemy – swoją drogą.



Akt strzelisty podróży I: Prędkość jest dobra tylko wtedy, gdy ma za przewodnika mądrość

Nim wyruszyliśmy, narzuciłem sobie ciężki warunek: będę jechał wolno. „Wolność – Putinowi na złość” – mówiła Ewa. „Hak mu w bak” – odpowiadałem. Takie sobie haselko wymyśliłem. Nie przekroczyć 85 km/godz. Spalę tak mało tej ruskiej ropy, jak się tylko da. A jak mało się da? Nie wiedziałem. Nigdy nie jeździłem z taką prędkością. Po autostradach niemieckich zdarzało mi się mknąć tym samochodem 140, albo i 160. We Francji ograniczenie do 130, więc się miarkowałem, ale zawsze pędziłem. Zawsze. Tym razem jednak – wolność. Skoro wolno, to i na autostradach zaoszczędzę. Nie w Niemczech, rzecz jasna, bo tam jeszcze za darmo. Ale Francja droga. Hiszpania droga. Czy da się przejechać oba kraje nie autostradą? Drogą niedrogą? GPS podpowiada, że tak, wystarczy, bym wybrał opcję: omijaj autostrady/omijaj drogi płatne. Ominę.

Dom-Pleissen Anger, ok. 740 km

Do Zgorzelca jadę spięty. 85 km/godz. oznacza w Polsce samochód na karku. Czasem ciężarówkę, siedzącą na zde-rzaku przez kilkadziesiąt kilometrów (popadam w nerwicę zerkania we wsteczne), a potem gwałtownym manewrem wyjeżdżającą na środkowy pas i wyprzedzającą z wyraźną złością. Za nią sznur następnych... Dość szybko orientuję się, że ciężarówki mają tempomaty ustawione na 90 km/h. Jadąc o te swoje 5 km wolniej, jestem dla niech zawalidrogą. Ale takie mam postanowienie.

Z rzadka zdarza mi się napotkać kogoś wlokącego się jeszcze bardziej.

Na jednej z ostatnich polskich stacji, za Zagrodą Kołodzieja, tankuję do pełna. Licznik pokazuje, że mam 950 km do przejechania na napełnionym właśnie zbiorniku. Ja jestem zdziwiony, Land jest zdziwiony – nigdy jego trzylitrowy dieslowy silnik nie spalił tak mało. Putinowi na złość – hak mu w bak!

W Niemczech odzyskuję spokój. Ciężarówki jadą o 5 km /h szybciej, wyprzedzają mnie dostojnie jak kontenerowce Dobę w kajaku. Rozwiewają lekką mgłę i sieją poranną rosę na szybach. Jadę po „ich” prawym pasie, muszą więc zjechać na środkowy, by mnie minąć. Gdyby nie to, myślałbym, że nawet mnie nie widzą. Widzą. Ale nie zwracają uwagi. Osobowe bmw i audi, do niedawna agresywne, opływają mnie miękko, podmuchy goniącego za nimi wiatru łagodnie nami kołyszają. Nikt nie mruga, nikt nie wygraża. Coraz częściej natykam się na auta jadące wolniej niż ja.

Postój na pierwszej stacji upewnia mnie, że nic tu po mnie. Szybki currywurst (nie jestem głodny, ale zachciało mi się wspomnień) z bułką, która zawsze była chrupiąca. Teraz jest z gumy. Espresso – 2,40 euro! O, nie. Mam kawiarkę, zaparzymy przy samochodzie. Toaleta płatna (parędziesiąt centów można odzyskać w kuponach do zwrotu przy zakupach na stacji) nie tak czysta jak w Polsce. „Nie masz wrażenia, że pięć lat temu było tu lepiej?” – pyta Ewa. „I nie tak smutno” – odpowiadam.

Zmierzcha, gdy zjeżdżamy z autostrady. Kierunek – Pleissen Anger pod Zwickau, tam nasz hotel, tak nam wypadło. Droga, wiodąca najpierw przez pofałdowane pola, po jakichś przepustach i mostkach nad kanałkami, wprowadza nas bez ostrzeżenia w świat upiornej dystopii. GPS nie traci rezonu

i swoją mantrę „w prawo, w lewo, na rondzie trzeci zjazd” odmawia z niezmienną pewnością. Objeżdżamy kolejne hale z ciągnącymi się po horyzont rampami oświetlonymi zimnym światłem. Trupi poblask zalewa całą okolicę. Hale są takie same i trudno uciec od skojarzenia z labiryntem. O, Ariadno, gdzie twoja nić?! „W lewo, w prawo, na rondzie trzeci zjazd” – komenderuje GPS. Jedziemy tak z dziesięć minut i już nie wiem, czy zmierzamy z punktu A do punktu B, czy krążymy od A do A, tracę powoli orientację, zimne światło przenika przez ubrania, czuję je na skórze. Nie ma jeszcze godz. 20, tu ani człowieka, ani samochodu w ruchu, wszystko zastygło, cisza jak przed falą tsunami, jak przed upadkiem meteorytu. „W lewo, w prawo, na rondzie trzeci zjazd” – i światło przygasło, zostało za plecami. 15 minut skrót przez centrum logistyczne oznaczam w GPS, żeby drugi raz do niego nie trafić.

Na polach osiada mrok, przejazd pod torami kolejowymi oszalałowany jak studnia, w oddali pojedyncze, ciepłe światła domostw. Nie zbłądziliśmy.

Miasteczko już śpi, choć to jeszcze nie noc. Po desce nad kałużą (remont!) wchodzę do schludnej recepcji. Zdziwiony Niemiec w kącie sali przygląda mi się niechętnie znad kufla piwa. „Nur deutsch” – mówi, a oczy ma zmęczone. „Frau zna języki” – dodaje ni z tego, ni z owego tak jakby po polsku (a może bardziej „po polskiemu”), a ja czuję się jak na planie filmu „Allo, Allo”. I już dzwoni po Frau, a nos ma czerwony. Przychodzi Frau, Niemiec uśmiecha się z ulgą, a kufel ma znów pełny. Ona mówi po polsku! Choć z mocnym niemieckim akcentem i wtrąca – słyszę – jakby rosyjskie końcówki. W kącie flaga Ukrainy i puszka na zbiórkę. Wrzucam 1 euro, pytam, czy Ona ma coś wspólnego z Ukrainą. „No co mam mieć? Ja Ukrainka ze Lwowa!”.

Co tu robi? „A, wyszła za tego tam (pokazuje Niemca, a on kufel ma już pusty). Za ZSRR prowadziła handel przy granicy, niedaleko Zgorzelca, trochę u was, trochę w NRD. To i nauczyła się po polsku”. Nie dopytuję, skąd za komuny się na granicy polsko-enerdowskiej wzięła, a co to – mało było wtedy ruskich garnizonów w okolicy? Nie wszyscy w eszelonach wyjechali, jak komuna padła, niektórym udało się zostać, wiadoma rzecz. „A dlaczego tu się akurat zatrzymała, na rubieżach NRD – to już nie lepiej było prysnąć trochę dalej na Zachód?”. „A, ten tam (pokazuje głową męża, a ten kufel ma znów pełny) stąd jest”.

Pokój jak za komuny, wystrój też. Czas tu niezbyt rączy. Otwieram okno na oścież, wokół – całe w dziobach rolniczych silosów – pola. Ciągnie od nich gnojowicą. Na horyzoncie rozbłysły światła, huk wystrzałów spóźnia się parę sekund. Za miastem zabawa.

Dopiero rano, przy śniadaniu widzę, jak wielki to przybytek. „Wesela robimy i jakoś da się żyć. Ale pandemia nam przyłożyła, ledwośmy przetrzymali... Zróbcie sobie jedzenie na drogę” – zachęca Frau. „Nie, nie wypada” – wykręcam się.

Pleissen-Besançon, ok. 780 km

„No widzisz, my też w hotelu na uboczu, na zboczach, w którym chyba są piwnice winne. Bo przed każdym domkiem na ulicy, gdzie jest nasz hotel, stoi paleta pustych butelek na wino” – pisze Tomek z drogi do Chorwacji. „Jesteśmy tylko 365 km od Was” – oblicza. „Ale my w krainie piwa” – odpisuję.

Wyjeżdżamy znowu na autostradę, niech nas prowadzi dalej, chcemy już do Francji. Na wysokich świerkach osadza

się mgła, w nocy padał deszcz, droga lśni („Asfalt ulic jest dziś śliski jak brzuch ryby” – nucę sobie pod nosem), słońca nie widać, ale jest jasno, rześko, radośnie.

„FB mówi – to znów Tomek – że Kamila ma dziś urodziny”. „Zaraz do niej napiszę. Jak się jedzie?” „W porządku”. „Nam też. 85 km/h i nikt nie fika. Pozdrowienia z Saksonii, a właściwie to już z Bawarii. A może to i Turyngia. W każdym razie A72. Chyba. A nie, A9”.

„Czy to jeszcze NRD?” – pyta Ewa. „Nie, chyba tu już było RFN” – odpowiadam. Gdzie tam. Dopiero kilkadziesiąt kilometrów dalej tablica przy drodze oznajmia, że tu były zasieki graniczne. Na wzgórzu sterczy smętnie od dawna pusta i ogołocona z insygniów wieża wartownicza.

Teraz już tylko droga. Ponad 10 godzin. Na miejsce. Przez ciemne lasy, wiadukty i tunele, które nie pamiętają NRD. Espresso – bez zmian, za 2,40 (euro!), currywurst z kajzerką, która zapomniała, że ma chrupać – także. Niemcy wyciszeni, jacyś zmęczeni. Paliwo drogie, dobrze ponad dwa euro za litr, ale co mnie to obchodzi – ja jeszcze jadę na polskim. Toczę się swoim tempem po autostradzie i dobrze mi z tym. Przyzwyczajam się do tej prędkości, na koniec dnia nie będę tak zmordowany jazdą – cieszę się. Widzę więcej, nie tylko drogę w szpic, jak przy 140 km/h. Land to docenia, mruczy miarowo.

Do Francji wjeżdżam na polskim jeszcze paliwie. Tankuję do pełna za 1,70 euro i patrzę z dumą na licznik, który zwiastuje dobrą nowinę: przejadę na tym jednym zbiorniku 960 km! Zjeżdżamy do szarego miasteczka po drodze, kierujemy się pod kościół – tam MUSI być boulangeria, bo zawsze tam jest. Bagietka, masło (jeszcze nie échiré, bo to nie ten region, ale znajdziemy i échiré!), kawa z mlekiem, kawałek sera – i choćby

ławeczka w parku. I wszystko, na co czekaliśmy tak długo, już na swoim miejscu. Miasteczko, kościółek, piekarnia, ławeczka na skwerku obok pomnika miejscowych żołnierzy-bohaterów poległych w I wojnie – stały element krajobrazu każdej, najmniejszej miejscowości we Francji – bagietka, masło, szynka, ser, sałata, *café au lait*. „Popatrz, to już pięć lat” – mówi cicho Ewa. „Niemożliwe – pięć lat bez bagietki we Francji...?” – nie wierzę. „A ile nam się wydarzyło... Chodźmy na spacer” – dodaje. „W stronę rzeki?”. „Za daleko”. „O, popatrz, za kamieniami jest kościół”. „Zamknięty”.

Zakrzywiona uliczka między szarymi kamienicami wyprowadza nas z powrotem na skwerek pod pomnikiem.

Jedźmy już.

Do Besançon zjeżdżam zmordowany – a jednak! Recepcja czynna jeszcze 20 minut, dwaj faceci (z Maghrebu) zajęci swoimi sprawami, młodszy machinalnie podaje klucze do pokoju, który jest dwa budynki dalej i wygląda, jakby właśnie skończyła się w nim całonocna balanga. Resztką sił wlokę się do recepcji ze zdjęciem tego bajzlu w komórce jak z aktem oskarżenia. Pomyłka. Przeprosiny. „Co możemy dla pana zrobić? Może coś do picia...? Kieliszek wina? Tzn. dzbanek? Białego? Czerwonego?”.

Nie dali szans mojej złości, by zakwitła. Spać.

Besançon–Aurillac, ok. 480 km. Droga obejmuje odcinki o ograniczonym dostępie –podpowiada usłudze GPS

Wjeżdżamy na drogę wytyczoną po śladzie starego rzymskiego szlaku wiodącego z Mâcon do Digoïn, ale jeszcze tego nie wiemy. Intuicja podpowiada, żeby brnąć w te

burgundzkie sielskie klimaty, minąć jedno okwiecone miasteczko, zlekceważyć drugie, wymuskane, choć tu i kościółek, i placyk, i boulangeria kuszą, i czas na kawę. Ech, przecież wolność, nie śpieszno nam, nigdzie nie musimy zdążyć, zobaczymy, co będzie dalej. Odbijamy od naszej drogi? A co tam! I widzimy: Paray-le-Monial – i już wiemy, tu stanjemy na popas. Nazwa nam się podoba, intryguje i na razie nic więcej. Za chwilę objawi się oszałamiającym widokiem, a później będę odkrywał z radosną fascynacją kolejne tajemnice tego miejsca. Ale teraz jeszcze nic nie wiemy.

I oto zza zakrętu wylaniają się trzy wieże przeogromnego, skąpanego w słońcu kompleksu klasztornego. Raj dla miłośników architektury: i cluniacki, burgundzki romanizm, i płomienisty gotyk połączone kaskadowo w mistycznej symbiozie.

Pieszny trakt prowadzi do niej mostkiem nad canal du Centre. W sennym kontredansie kroczą po nim dumnie szaro-błękitno-białe gęsi. Ustawiamy się za nimi w procesji. Ptaki puszczają nas przodem, rozsiadają się na świeżo skoszonej trawie nadbrzeża, na której myśmy miejsca dla siebie nie znaleźli. My idziemy na palcach dalej, a właściwie głębiej, w ciszę krużganków i dziedzińców, krucht i naw, po niewidzialnych śladach, które zostawili tu hrabiowie, książęta, królowie, odszczepieńcy, rewolucjoniści, biskupi, opaci. Mijamy miejsca, które były świadkami cudów, objawień, a nawet świętych obcowania.

Jest pusto. Stajemy onieśmieleni w krużganku, skądś pada światło. Ściany po deszczu wyglądają, jakby wyszło dopiero co ociosane, żółte i mokre. Z jasności bloków kamiennych harmonijnie wylaniają cienie delikatnie splecionych zdobnych kolumnienek, mur nie pozwala nam się

oddalić, każe się głaskać i dotykać, chce, byśmy poczuli jego ciepło i gładką szorstkość kamienia, byśmy czuli czas.

Paray-le-Monial – nie bardzo podłe miasto! Założone w 973 r. przez hrabiego Chalon Lamberta, w 999 zyskało znamienitego opiekuna – Odylona, opata z Cluny – tego samego, który doprowadził do ustanowienia Pokoju Bożego (*Pax et Treuga Dei*), zapoczątkował obchodzenie Zaduszek po to, by wyparły pogańskie obrzędy czczące zmarłych, a za zasługi dla Kościoła został ogłoszony świętym. Nic też dziwnego, że klasztor budowano tu na wzór i podobieństwo klasztoru klasztorów, czyli Cluny – jest jego młodszym i mniejszym bratem. Jakże zaśmiała się historia z tego braterstwa! Brat młodszy stoi do dziś i daje ukojenie rozkołatanyemu zmysłom, brat starszy francuska rewolucja zburzyła, bo akurat w tym miejscu trzeba było pociągnąć drogę...

Wyszukuję na bieżąco w internetach urywki historii i teraz cofamy się do 1562 roku. Chcę szukać śladów rozróby, gdy protestanci spalili na ogromnym stosie klasztorne meble, księgi, archiwa i narobili takich zniszczeń, że pies z kulawą nogą się pod murami nie pętał. Główne wejście zamknięte było przez 300 lat. Nic jednak nie znajduję – ściany zniosły cierpliwie brewerie, zostały po nich tylko opowieści, kamień jest gładki.

Niechaj historii dalej toczy się tok: główny portal zarasta perzyną, w środku jednak tli się klasztorne życie. Młody jezuita o temperamencie misjonarza, 33-letni Klaudiusz de la Colombière, zostaje przełożonym w Paray-le-Monial, jest rok 1674. O sześć lat od niego młodszej mniszce Małgorzacie Marii Alacoque, zacnego rodu, objawia się Chrystus. Wyznacza jej zadanie rozpropagowania nieobecnego wtedy w Kościele kultu Najświętszego Serca Jezusa. Klaudiusz zostaje jej spowiednikiem i wspiera ją w jej misji, ale już dwa lata później władze

kościelne wysyłają go na misje do Anglii. Będzie kaznodzieją Marii z Modeny, księżnej Yorku, późniejszej królowej. Z Małgorzatą korespondują. Aresztowany pod zarzutem konspiracji, skazany na karę śmierci, za wstawiennictwem króla Francji wraca do kraju. Leczy się w Lyonie i wreszcie znowu w Paray-le-Monial, gdzie umiera w 1682 roku. Małgorzata przeżyje go o osiem lat. I tu wplotę wątek polski. Objawienia Małgorzaty i kult Serca Jezusa nie zyskały aprobaty Watykanu. Mówiło się nawet o herezji. Jednak w 1765 roku Episkopat Polski wystosował w tej sprawie memoriał do papieża Klemensa XIII, a ten jeszcze w tym roku zezwolił na obchodzenie święta ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa przez zakon wizytek, a niebawem na celebrowanie go w polskim Kościele. Dopiero potem kult rozlał się na cały świat.

A jakichże to argumentów użyli polscy hierarchowie, że Watykan się ugiął? Zostawmy teologom. A jakimże to polskim dostojnikom światowy Kościół zawdzięcza ten kult? Zostawmy historykom. Chociaż... Ówczesny prymas Polski, Władysław Aleksander Łubieński, który koronował królów, a i sam był interreksem, był człowiekiem światowym, ale nie patriotą. Spiskował z Czartoryskimi i wycierał korytarze carskiego poselstwa, prosząc Rosjan o wojskowe wsparcie dla szykowanego zamachu stanu. Po całej Europie rozsyłał swoich pociotków z misjami dyplomatycznymi, z których nic dla kraju nie wynikło, ale dla rodziny – owszem. Czy miał czas na opowiadki jakiejś nawiedzanej mniszki z prowincjonalnej Francji? Skończył marnie, prawdopodobnie otruty przez Rosjan raptem dwa lata po memoriale, w 1767 roku.

„Nie za dużo tych pobożnych historii” – pyta Ewa. „Tak, za dużo” – odpowiadam.

Małgorzata została ogłoszona świętą w 1920 roku, Kladiusz – w 1992 roku, przez Jana Pawła II. Z dwunastu obietnic, które – za pośrednictwem świętej – Chrystus dał uczniom kultu Serca, wybieram dla siebie trzecią (Będę ich pocieszał w utrapieniach), i piątą (Będę im błogosławił w ich przedsięwzięciach), i dziewiątą (Będę błogosławił domom...), a może drugą też, i szóstą...

A co z bramą? W 1860 roku wzięto się za jej odbudowę. Podobno główny problem polegał na utrzymaniu ciężaru baszt w trakcie wzmocnienia ich fundamentów. Widziałem taką odbudowę w niemniej szacownym miejscu: w Nieświeżu na Białorusi. Wielka poradziecka kopara odsłaniała fundamenty ciężkiej baszty przy głównej bramie zespołu zamkowo-pałacowego Radziwiłłów, a w tym samym czasie poradziecki dźwig nakładał od góry krytą miedzią kopułę. „Chryste Panie, przecież to się zaraz zawali, co za głupol pozwolił jednocześnie odkopywać na dole i obciążać na górze” – myślałem, patrząc z przerażeniem. „Aleksandr Gorski” – przedstawił się szarmancko gość w drelichu i berecie, który był w ekipie remontowej. „Spokojno, zdzierzył” – racy! poinformować. Chyba kierownik. Wszyscy robotnicy dookoła byli pijani jak on. Uciekłem. Schroniłem się w kościółku, w którego otwartych, wilgotnych podziemiach stoi z nogami w wodzie ponad 100 starożytnych brzozowych trumien z zabalsamowanymi Radziwiłłami. „O, tu leży Sierotka, tu Czarny, tu Panie Kochanku” – objaśniała starsza uprzejma kobieta, jakby zakrystianka. Był rok 2002. Z prasy dowiedziałem się później, że baszta wytrzymała. Za to zabytkowy dach zamku *nie zdzierzył*. Spalił się, bo na strychu *rabotały* spawarki. A legary były drewniane, kto by pomyślał...

Baszty Paray-le-Monial też zdzierżyły i dumnie dzierżą do dziś. Nie od parady miasto ma w herbie niebieskiego pawia z rozłożonym ogonem, czerwonymi nogami, na żółtym tle.

Na górcie za miastem urządzamy śniadanie na trawie. Z koszyka wyjmujemy krąg sera od cystersów z Cîteaux, bagietkę, najlepsze na świecie masło échiré, które udało nam się wypatrzyć w sklepiku, pomidory, brzoskwinie i małego melona ze straganu przy drodze. Kawa perkocze. „A co z winem, przecież jesteśmy w Burgundii?” – pytam. „A nie w Franche-Comté?” – przekomarza się Ewa. „Wieczorem”.

Gdy dojeżdżamy do Aurillac, jest jeszcze jasno. A nawet jaśniej niż w środku dnia, bo deszcz ustał. Tylko odchodzące chmury przesłaniają to, co nas czeka jutro: góry. Otwieram okno w pokoju i nagle miga mi cień. „Ważka!” – mówi Ewa. „Nie, popatrz”. Na blacie stołu przysiadła modliszka. Jeszcze powoli chowa skrzydła. Przyglądamy się jej długo, a ona zastryga w modlitewnej pozie i czeka na rozwój wydarzeń. Widziałem modliszkę w Europie drugi raz w życiu. Pierwszy raz – w Galicji, w sierpniu 1989 roku, w drodze do Santiago de Compostela. Kilka dni później dojechaliśmy na Wzgórze Radości, na spotkanie młodzieży z całego świata z papieżem Janem Pawłem II, ale mało kto się tym zajmował. Ekipy telewizyjne z całego świata szukały grup z Polski, żeby uzyskać jakąkolwiek wypowiedź w sprawie tematu nr 1: w Warszawie pierwszym niekomunistycznym premierem od wojny został Tadeusz Mazowiecki. Pod naszą tabliczką z napisem Klub Inteligencji Katolickiej, Warszawa, ustawiały się kolejki dziennikarzy. Mazowiecki był jednym z założycieli KIK... Nie to, żebym szukał prostych analogii. Modliszka równa się zmiana władzy. Ale miło było skojarzyć. A nuż...

Aurillac-Perpignan, ok. 360 km

Zaraz za Aurillac, nie trzeba było daleko jechać, strzałka pokazuje kierunek właściwy: sery. Zajeżdżamy do serowarni, w której powstaje tylko pięć odmian – ale jakich! Krągły i niski jak camembert (ale tylko kształtem!) obtaczany w popiele Saint-Nectaire, walcowaty Fourme d'Ambert, przerośnięty niebieską pleśnią Bleu d'Auvergne i dwie legendy: uważany za najstarszy francuski ser cantal – ponoć przysmak Rzymian – i jego brat rodzony salers. Tu, w Arpajon-sur-Cère, słucham nabożnie serowara, który z cantalem w prawicy i salersem w lewicy powiedział: cantala robimy cały rok, z mleka krów rasy salers, pasących się na naszych łąkach, albo, gdy stada już spędzone, karmionych sianem. Salersa zaś – z mleka od tych samych zwierząt wypędzanych na pastwiska latem i jedzących tylko świeżą trawę i zioła. Salers jest zatem sezonowy. I akurat teraz jest. Wydał mi się delikatniejszy, czuję w nim łąkę. W zagrodzie obok młode krowy ufnie patrzą mi w oczy. Wyjeżdżamy ciężsi o parę kilo cantala i salersa. Żeby było co porównywać.

Od Arpajon-sur-Cère droga wiedzie wciąż pod górę i maleje, maleje aż do czterech cyferek po literce, a przestrzeń rośnie i rośnie, ogarnia coraz większy obszar Owernii. Po dwóch godzinach jazdy po serpentynach, nie widząc ani auta, ani miasta, ani człowieka, wyjeżdżamy na szerokie, pofałdowane połoniny. Droga uspokaja się, silnik się wycisza. Po trawersie, parędziesiąt metrów nad nami, wije się inna drożyna, a gdy wreszcie spotyka się z naszą, na rozwidleniu dostrzegamy wbitą w ziemię tablicę z napisem: „Ciężarówka przejedzie”. Po polsku. Ruszamy śmiało przed siebie.

Teraz droga spada w szalonych, węzowych splotach ku rzece Lot, a po chwili znów unosi nas ku górze, pod korony

drzew, w wieczny cień. Zerkam z trwogą za kamienną barierką biegnącą wzdłuż drogi, ale w tej zieloności nie jestem w stanie dojrzeć rzeki. Kto tu wpuścił ciężarówkę?! Dziękuję Bogu, że niebo – choć zasnute chmurami – nie spuściło deszczu na asfalt, bo chyba bym zjechał w zatoczkę i płakał. A tak – jadę ostrożnie, ważąc każdy zakręt.

Wreszcie droga się wyrównuje i zajeżdżamy do Estaing. Witają nas z lewej i prawej piwnice winne, zapraszają anonami, że tu lokalne wina apelacji d'Olt, której nie znam i nie spodziewam się niczego wielkiego, ale jakże mogę nie zjechać? „Valery Giscard Estaing skoro tak się nazywał, to był stąd?” – pytam z głupia frant sommelierkę. „A skąd, wszyscy o to pytają” – odpowiada lekko poirytowana. „Urodził się w Niemczech, tu podobno miał jakąś daleką rodzinę, ale się nie utożsamiał”. Zawstydzony kupuję trzy butelki ze szczepów lokalnych. Tak, nic wielkiego.

Zaraz za Estaing droga znów strzela w górę i wreszcie wyrывa nas ze zdradzieckich objęć rzeki Lot. Znowu wdrapujemy się na zielone pastwiska. Droga wiedzie skrajem parków narodowych, które mijamy a to z lewej, a to z prawej. Od wschodu mamy Regionalny Park Aubrac, który darzę sentymentem, bo z samego jego serca, z miejscowości Laguiole, pochodzą najbardziej francuskie noże o tej samej nazwie. Szczęję się posiadaniem prawdziwego laguioła i zawsze jego korkociągiem otwieram pierwszą butelkę wina na francuskiej ziemi, a jego ostrzem kroję ser. Szczyryk, z rękojeścią z toczonego krowiego rogu lub drewna jałowca, z charakterystycznymi ćwiekami w kształcie krzyża.

Gdy łagodne pastwiska („Może to już Sewenny?” – pyta Ewa. „Może” – odpowiadam) dały nam chwilę wytchnienia,

zaczyna się znowu ostra jazda aż na samo dno doliny, znów ku rzece – tym razem Tarn. Błogosławiony czas przed laty w austriackim Aldbergu, gdzie mogłem swobodnie, na pustej ośnieżonej drodze górskiej, poćwiczyć zjeżdżanie z hamowaniem silnikiem z automatyczną skrzynią biegów! Wiedziałem, co na tych serpentynach miałem robić, Land też. Nie spaliłem hamulców, nie straciłem zimnej krwi. W nagrodę znów podziwiamy najwyższy wiadukt w Europie, cud inżynierii nad Millau sięgający 341 m. Gdy pierwszy raz po nim jechałem, w 2005 roku, chmury płynęły pod nami.

Wypatrujemy spektakularnych efektów wielkiej geologicznej katastrofy, gdy miliony lat temu skraj urwistego, wapiennego masywu Combalou obsunął się między dzisiejszymi Millau a Saint-Affrique. W wapiennym rumowisku uformowały się pieczary, a w nich, dzięki ludzkiej pracowitości, przypadkowi i naturze zrodził się cud: przeniknięty szlachetną błękitną pleśnią ser roquefort.

A potem trzeba się było wdrapać z powrotem na poziom wiaduktu.

Do Perpignan nic już się nie wydarzyło. Ach, przecież Fitou! Czerwone wina, które niby jeszcze langwedockie, ale nie, już bliżej im do katalońskich, solidnych, ciemnych i mocnych...

„To dobrze, że tak zdradzasz wszystkie nasze tajemnice?” – pytała Ewa. „Nie wiem. Ale znam tylko nasze” – odpowiadałem.

Perpignan–Mont Roig del Camp, ok. 340 km

Wąska droga górska, jak przez kurort, zapchana sklepami i straganami jak każda strefa wolnocłowa (którą już przecież nie jest, ale tak z przyzwyczajenia...). Hiszpania, La Jonquera.

Zawsze tę miejscinę zapchaną ciężarówkami mijaliśmy, patrzyliśmy na nią z góry, z autostrady, więc ten pierwszy raz nie śmiało wjeżdżamy i szybko chcemy wyjechać. W ogóle chcemy już szybko, bo przecież jest tak blisko. Ale przecież postanowienie! 85 km/h przez całą Europę, i teraz, niemal u kresu, mieliśmy je złamać? Putinowi na złość – hak mu w smak – dojeździemy po naszymu. Jeszcze tylko pierwsze *café solo* pod Gironą (1 euro, hurra, nic się nie zmieniło!), pierwsze *chuchos* (podłużny racuch obtoczony w cukrze, ze śmietankowym kremem wypływającym ze środka – hurra, 2 euro sztuka, po staremu), pierwsze tankowanie (1,76 euro, co się porobiło! Jak we Francji, czyli sporo taniej niż w Niemczech – nigdy tak nie było!) i już widzimy morze, i już jesteśmy u siebie.

I oto przejechałem ponad 2500 km z prędkością 85 km/h – przez Wogezy, Masyw Centralny, Owernię, Pireneje. Nie zapłaciłem ani grosza za autostrady we Francji i w Hiszpanii, w zamian snułem się po drogach od A do E-cztery cyfry, poruszałem się skrajem parków naturalnych, po pięknych pustych szlakach. Mijałem senne miasteczka, patrzyłem na kościółki i zamki owiewane mistralem, odczytywałem nowe dla mnie karty historii cywilizacji i kulinariów. A teraz jeszcze tylko muszę postawić dom.

Akt strzelisty II:

Namiot jest kształtem powietrza

To było chyba w Studio Gama, peerelowskim programie rozrywkowym. Po porcji wygłupów na cyrkowej arenie (tam działa się akcja), na jakimś zydelku z boku przysiadł Jonasz Kofta i – jak to poeta – oderwany od kabaretowej akcji

powiedział wiersz. Zapamiętałem z niego zdanie „Namiot jest kształtem powietrza”, reszta uleciała. A wychylił mi się z zakamarka pamięci, gdy rozciągałem płótno namiotu na trawie, a wiatr kpił sobie z mojego trudu i nie pozwalał zapanować nad kształtem. Przydałby mi się ten głos poety, żeby spać opowieść, przydałby się Tobie, Czytelniczko/Czytelniku, byśmy się przed podróżą pobujali lirycznie... Szukałem go, oj, naszukałem się – w internecie, wertowałem to, co miałem pod ręką – zapomnianą kolekcję płyt z tekstami Kofty, jakieś antologie... Gdzież są, ach, niegdysiejsze kabarety... Aż trafiłem na ślad: z rozmowy z autorami zbioru Jonasz Kofta, „Co to jest miłość” dowiedziałem się, że to jeden z wierszy zapomnianych (tylko ja go zapamiętałem?) i nigdzie niepublikowanych (dlatego go nie znajdowałem) pt. „Namiot cyrkowy”. Jest w tomie drugim. Cóż z tego jednak, skoro nakład wyczerpany... I znowu idzie w zapomnienie.

Chcę być uczciwy wobec Ciebie, Droga Czytelniczko-Drogi Czytelniku, dlatego, nim opowiem o namiocie, wyznam: namioty miałem dwa. Co tu kryć – nie moje, oba dostałem do przetestowania, z dwóch różnych firm. Oba opisane jako campingowe, na pobyt rodzinny, stacjonarny. Tzn. że można się w nich urządzić. No to testowałem i chętnie się wynikami tego testowania z Tobą dzielę.

Test I: Ogląd

Pierwszy namiot: radośniezielony Husky Boston 5 New. Campingowa klasyka: sypialnia (teoretycznie na pięć osób) podpinana do tropiku z obszernym przedsionkiem – 15,9 kg w torbie o rozmiarach 70 x 25 cm. Po rozłożeniu – dom o rozmiarach

5 m x 3,30 m x 2,10 m. Ten ostatni parametr ucieszył mnie najbardziej – *homo erectus sum...* Bo przecież spędzę pod namiotem dwa tygodnie. Materiał zewnętrzny: 185T Polyester, PU powłoka 3000 mm/cm², klejone szwy. Wewnętrzny (sypialnia): oddychający Nylon 190T + siatka moskitiera. Teraz sprawdźmy, co jest w środku. No, niewiele tego sprawdzania. Sypialnia, w której można się swobodnie wyciągnąć (2,1 m długości) przy 3,1 m szerokości daje duży komfort dwóm osobom. Czterem (jest taka firanka–nibyścianka) – już trochę mniejszy. Pięciu (bo na tyle pomyślany jest namiot)... ale ale! Po co pięć osób do sypialni?! W przedsionku w słotne dni można urządzić jadalnię (2,8 m na 3,3 m), postawić stolik i cztery krzeselka... trochę na wcisk... I to już cały dom.

Drugi namiot – ciemny Dometic FTX 401 – też w jednej torbie. Ale jaka to torba! 85 x 52 x 50 cm o wadze prawie 42 kg! Pół bagażnika. Land lekko siadł, gdy go wrzuciłem. Za to po rozłożeniu – willa! 7,5 m długości, 3,2 m szerokości, 2,1 wysokości! Oprowadzę po pokojach: sypialnia czteroosobowa dzielona przewiewną ścianką na dwie części. Za nią – niespodzianka: schowek (wejście na suwak), w którym mieszczą się wszystkie walizy, torby, sakwojaże, kartony, baniaki, kable, sznurki, spinacze i całe to utrapienie, które do pakowania i w drodze się przydaje, a na miejscu wala się tylko pod nogami – nareszcie porządek! Przed sypialnią – przedsionek o szerokości 2,85 m z możliwością przedzielenia ścianką na pół! Tam podwieszę półki na maski, płetwy, latarki, noże, korkociągi, frisbee, kule do petanki, książki, przewodniki, mapy... I jeszcze jedno pomieszczenie (gospodarcze?!) o szerokości 1,8 m, dzielone, a jakże! Tam można zapakować naszą „trumnę” nadachową (przecież nie będę z nią tu, pustą, jeździł), kartony z cava, którą

kupię jak zawsze w Sant Sadurní d'Anoia i jeszcze kilka z winami, które wyszukam gdzieś pod Falset, Masroig, Gratallops. Podłoga podczepiana z całością, progi podniesione: ani nie nawieje, ani nie napłynie do środka.

Kto zgadnie, który namiot wybrałem?

Nie, nie, to nie było wcale takie oczywiste. Zielony kuśił lekkością i zwiewnością. Ciemny zniewalał komfortem, jakością materiałów i gamą alternatywnych możliwości. Dom czy willa...?

Nie ma co, testujmy dalej.

Test II: Pogląd

Pałaki zielonego, zgrabnie podzielone na standardowej długości kawałki (jaka szkoda, że układ SI wyparł stare miary, bo rzekłbym: długie na jeden łokieć – i byłoby to precyzyjne), wyglądały znajomo. Wystarczy połączyć je w cztery całości, wstawić na miejsce, podpiąć.

Gdy zacząłem je łączyć... Niby nic, a tak to się zaczęło. Dwa dłuższe, dwa krótsze. Który nad sypialnię, który do przedsionka? Instrukcja nie pomaga. Filmik – tym bardziej. Przymierzam, wciskam, napinam, wznoszę, niby ok, ale jakoś koślawo się krzyżują, ciągnę – za mocno, zaraz coś urwę!, tu się nie da. No to demontuję, pałaki wystrzeliwiają z uchwytów, trzeba uważać, żeby nie wychłostały, a tu jeszcze dzieciak dwuletni się pałęta, zabierzcie go, bo go pacnie! Po trzeciej próbie wszystko jest na swoim miejscu. Nawet bardzo się nie spociłem. Szkody prawie żadne, ot, drobne zadrapanie. Trochę się sączy. Cholera, jednak trzeba zatamować, gdzie plaster?!

Żeby następnym razem (będzie następny raz?) nie szukać, która końcówka do której szlufki, oznaczyłem je kolorami

(końcówka stelażu czerwona do czerwonej szlufki w namiocie, czarna... itd.). Łatwizna. Szkoda, że producent na ten pomysł nie wpadł. Teraz to i w 15 minut. Sam. Doceniam zacny patent – paski z regulacją, do naciągania tropiku. Bo tak mi zostało z harcerstwa: ściana ma być bez zmarszczki! A linki jak struny (sprawdzam zawsze, czy potrącone zadźwięczą). Ok, tu są paski, napnę porządnie, ale muzyki nie będzie.

W środku rzeczy można tylko postawić. Nic się nie da podwiesić, bo stelaż mocny, ale cieniutki i na zewnątrz. Wspominam z rozrzewnieniem mój pierwszy namiot – czwórkę z Legionowa, 50 kg, ze stalowym stelażem w środku – wszystko na nim utrzymał! A tu – ścianki przewiewne, ale nic nie oprzesz. Nic nie schowasz, chyba że pod materac. Wejść–położyć się–wstać–wyjść. Czyli funkcja namiotu trekkingowego. A ja w tym namiocie zamierzam przecież wieść życie rodzinne! A jeśli lunie? Niejeden deszcz przeżyłem na campingu w Katalonii i nie raz poczułem grozę tego gwałtownego letniego zjawiska (czy ktoś jeszcze pamięta, że burza po rosyjsku to jakże trafnie rpoza – *groza*...?). Któregoś razu przyszła groza z nad Pirenejów. W samo południe zasłoniła chmurami niebo tak szczelnie, że zapaliły się latarnie. A potem strzelił piorun – i latarnie zgasły. Zrobiło się czarno. Zerwał się wiatr, który najpierw pozamiatął campingowe uliczki, a potem jął porywać namioty. Lunęło, a zaraz potem spadł grad jak jaja. Staliśmy z Ewą pod płóciennym daszkiem naszego Legionowa i patrzyliśmy bezradni, jak kule z nieba tłuką w miesiąc temu nabyty (po raz pierwszy nie z drugiej ręki) piękny, nowy samochód. Woda na ulicze wzbierała. Już sięga do kostek, zaraz wleje się do sypialni, gdzie dzieci... Obróciłem się i ujrzałem, że dach namiotu napęczniał do środka i zwisa już jak

brzuch Hansa po oktoberfeście. Zaraz pęknie i kule gradowe, które go przepełniają, zwałą się dzieciom na głowy! W ostatniej chwili zrzuciliśmy je na zewnątrz, wypychając dach od środka – oboje, oburącz. Ledwo. Namiot, na który teraz patrzyłem przez pryzmat tego wspomnienia, o ściankach z zielonkawej mgiełki, zmarniał w moich oczach. O, to nie Legionowo. Takiego obciążenia nie wytrzyma.

Wybór przypięczonego okna w przedsionku. Duże, wpuszczające solidny snop światła do i tak jasnego wnętrza (a właściwie czy w Hiszpanii to dobrze...?). Tylko... dlaczego odpinana i rolowana zasłona jest od środka? Pierwszy raz coś takiego widzę. Okno jest z siateczki, jak trzeba, zasłona z tej samej mocnej zielonej mgiełki co namiot. Ale dlaczego od środka? Taki koncept czy pospolity błąd? Przecież gdy leje, nawet po zasłonięciu okna woda będzie spływała do środka. A może ja tu czegoś nie rozumiem? Oglądam z zewnątrz – no nie ma drugiej zasłony. Nie ma uchwytów do mocowania czegokolwiek. Może jest tu jakiś chytry patent na odprowadzanie wody? Dobra, zasłaniam, leję z zewnątrz węzem ogrodowym –wszystko wpływa do wnętrza... Kałuża w przedsionku. Dyskwalifikacja. Zwijamy zielone chuchro (sprawnie poszło), rozbijamy dometica.

Czy aby na pewno „rozbijamy”? No, nie. Bo ten namiot jest na wiatr. Tzn. się go nadmuchuje. Wiem, że takie namioty są na świecie, oglądałem kilka na wielkich targach, wchodziłem do środka, macałem mięśnie napompowanych rur nośnych (twarde jak skała!). Ale jakoś nie mogłem się przekonać. No bo mała nieszczelność, pylon więdnie, namiot się wali. Mam rację?

Z wielkiej torby (torbiszca) wyciągam ogromny płat posztywnych i połączonych suwakami, klejonymi szwami,

zapinkami, linkami, taśmami etc. różnych materiałów. Wyglądają mocno i solidnie, każdy detal cieszy oko wykończeniem, wszystko wydaje się przemyślane, dopasowane i uzasadnione nie tylko technologicznie, ale i estetycznie. Tylko co tu jest tył, a co przód? Gdzie wejście? Gdzie dach...? Toż to jak trzy poplątane ze sobą spadochrony! O, bogowie instrukcji! Od czego mam zacząć? Bogowie się zlitowali: od zaworu. Pogrzebałem w tych zwojach materiałów i odnalazłem plastikowy grzybek (taki jak w pompowanych materacach, standard) pod zmyślną zaszywką (jak poła mini fraka). Odkręciłem, dopasowałem końcówkę pompki (ekologicznej, bo ręcznej, za to dwa razy większej niż te ze sportowych supermarketów), kilkanaście pchnięć – a pylon unosi się z wdziękiem i już napina się pod płótnem, już pręży się jak łuk triumfalny na Placu de Gaulla w Paryżu, już naciąga swoją partię materiałów i ja wreszcie wiem, co mam robić dalej. Powtarzam dmuchanie jeszcze cztery razy i – właściwie po robocie. Namiot wielki jak hangar, solidny, mocny, stoi. Zamek na wietrze. A właściwie na wiatr.

Najtrudniejsze i najbardziej czasochłonne jest w tej zabawie rozłożenie na trawie całej poplątanej płachty. Ale właściwie dlaczego poplątanej...? „Pamiętaj! (brzmiało mi w uszach memento poprzedniego użytkownika) – jest tylko jeden patent na wpakowanie całości do jednej torby. Nie składaj tej płachty jak się składa namioty, w kostkę, bo i tak nie dasz rady. Upychaj po kawałku, jak śpiwór do wora”. Memento funta kłaków warte. Namiot składa się po szwach jak należy i wtedy idealnie wchodzi w torbę – choć na początku może się to wydać niemożliwe. Tak złożony rozkłada się logicznie. I wtedy z rozstawieniem tego giganta we dwie osoby można się zmieścić w kwadransie. Ja się mieszczę. Serio.

Camping

Liczę uważnie: od namiotu do schodków – 70 kroków (nad głową szumią wysokie palmy, zielone papugi alexandretty wrzeszczą pod niebiosy). Schodków czternaście. I już plaża. 37 kroków – morze. I z powrotem: 37 kroków (albo 35 jak się fala rozpędzi) po żółtym piachu. Potem 14 schodków wiodących do żwirowej alejki. 70 kroków alejką i jestem przy moim zamku na wiatr. Tak będę teraz mieszkał. Z pawiloniku kuchennego, który za chwilę rozbiję, będę – gotując – patrzył na morze. Pijąc wino przy stoliku, będę patrzył, jak słońce zapada w morze. Tak, to mój drugi dom. Od prawie 25 lat. To morze, to słońce, ci ludzie, ta kuchnia i te wina. Mój dom. Nie byłem tu pięć lat. Znowu jestem w Katalonii.



Sakwojaż

Wentylowane rękawice Mechanix Vent Coyote

Lekkie i przewiewne rękawice ochronne przeznaczone do użytku w dodatnich temperaturach. Perforowana część chwytowa oraz oddychająca siateczka mesh na wierzchniej stronie odprowadzają nadmiar ciepła i wilgoci. Model Vent umożliwia obsługę ekranów dotykowych. Sprawdzą się zarówno podczas jazdy na rowerze, żeglowania, czy też poruszania się w trudnym terenie górskim, gdzie dłonie mają kontakt ze skałami, łańcuchami lub są narażone na nagłe spadki temperatur.

Dostępne również w kolorze czarnym.

Cena: 129,99 zł

Multitool Leatherman Signal Crimson

Kieszonkowa skrzynka z 19 narzędziami. Oprócz składanych kombinerek, ostrza nożowego otwieranego jedną ręką oraz piły, posiada m.in. krzesiwo, młotek, otwieracz, gniazdo na wymienne bity. Sprawdzą się nie tylko w podróży, ale także w domu czy samochodzie. Dostępny w kilku wersjach kolorystycznych. Wszystkie multitoole Leatherman objęte są dwudziestopięcioletnią gwarancją oraz produkowane są w Stanach Zjednoczonych.

Cena: 649 zł

Latarka Olight Perun 2 Mini

2 w 1 – latarka czołowa i kątowna w jednym. Waży zaledwie 54 g (z akumulatorem) oraz ma 6,4 cm długości. Emituje strumień światła 1100 lumenów, co przekłada się na zasięg skuteczny do 150 metrów. Jest odporna na zanurzenie do głębokości dwóch metrów do 30 minut. Można jej używać jako czołówki (pasek w zestawie) lub przyczepić do szelki plecaka (klips w komplecie). Olight Perun 2 Mini oferuje aż siedem trybów świecenia, w tym również światło czerwone, przydatne do czytania mapy w terenie. Objęta jest pięcioletnią gwarancją. W ofercie także inne kolory.

Cena: 299 zł

Lornetka Bushnell Prime 8x42

Kompaktowa lornetka o ośmiokrotnym powiększeniu i średnicy obiektywu 42 mm. Waży zaledwie 660 g, co sprawia, że nie stanowi znaczącego obciążenia podczas wypraw w góry, do lasu, czy na imprezy masowe. Wysokiej jakości szkła optyczne Bak-4 gwarantują jasny i wyraźny obraz w trudnych warunkach oświetleniowych. Dzięki powłoce EXO Barrier krople deszczu nie osadzają się na soczewkach. Gwarancja: 15 lat.

Cena: 749 zł



KUP TU: MILITARIA.PL





LEATHERMAN®



MADE
IN USA



25 LAT
GWARANCJI



Militaria.pl

BYDGOSZCZ DWORCOWA 43 • **GDYNIA** ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA
KRAKÓW DIETLA 51 • **ŁÓDŹ** MANUFABRYKA • **POZNAŃ** POSNANIA
PRZEMYŚL JAGIELLOŃSKA 7 • **SZCZECIN** AL. PIASTÓW 53 • **WROCŁAW** OŁAWSKA 16
WROCŁAW ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49